

Fr Jan Sadowski, OMI
156 Roncesvalles Avenue
TORONTO, ON
Canada M6R 2L4
E-mail: omijans@hotmail.com
<http://www.katecheza.info/dzieci>
<http://www.allday.at/misje>

Toronto, dnia 29 grudnia 2006 r.

Z Kanady po raz czterdziesty pierwszy

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Maryja Niepokalana!

Kontynuuję temat zapowiedziany w poprzednim liście: krótki wypad do Edmonton. Dopiero we wrześniu znalazł się czas na obejrzenie tego miasta na „Dzikim Zachodzie” Kanady. Drogą lądową jest ponad 3.400 kilometrów, samolotem trochę bliżej, gdyż taki pojazd nie musi omijać wielkich jezior, ale w powietrzu leci ponad 4 godziny. Duże lotnisko jest zlokalizowane z dala od miasta i autostradą jedzie się 40 minut. Wyjechał po mnie swoim luksusowym samochodem parafianin z polskiej parafii Matki Bożej Różańcowej. Łatwo nawiązałem kontakt z parafianami, którzy przybyli na wieczorną Mszę Świętą. Bardzo mili byli ministranci i ministrantki. Czas od podjęcia decyzji do wylotu był zbyt krótki, abym swoim zwyczajem się przygotował do zwiedzania miasta. W Toronto nie mogłem kupić przewodnika opisującego to milionowe miasto. I tu zdobyłem pierwsze doświadczenie. Na miejscu nikt nie potrafił poinformować mnie o takich prostych rzeczach, jak cena biletu autobusowego, numeru, aby dojechać do centrum... Po prostu moi informatorzy jeżdżą samochodami i to ich nie interesuje. I zapewne moi współbracia w Toronto też wiedzą tyle samo o komunikacji miejskiej, chociaż bezbłędnie dojadą samochodem.

Nazajutrz po przyjeździe zapoznałem się z miastem. Pieszko doszedłem do centrum miasta, to tylko półtorej godziny drogi. Spacerując po centrum handlowym trafiłem do kawiarni „Polka” i oczywiście wypilem kawę. Przypadkowo znalazłem się przy biurze informacji turystycznej. Wszedłem, mogłem nawet porozmawiać po francusku. Otrzymałem mapę miasta z wykazem tras autobusów i metra. Przejechałem się więc metrem w obie strony na ten sam bilet (ważny 90 minut na wszystkie rodzaje transportu miejskiego). Wysiadłem przy uniwersytecie, na którym studiuje około 40 tysięcy studentów, aby przejść przez dwupoziomowy most. Obok była linia metra. Dopiero wtedy zauważyłem, że mogłem iść też po moście obok torów metra. Pierwszy więc dzień pobytu w Edmonton spędziłem na spacerze, dzięki czemu dobrze poznałem miasto, zwłaszcza wysokie centrum.

Drugiego dnia byłem już przygotowany, aby wykorzystać bilety komunikacji miejskiej. Zwiedziłem największy w Ameryce zespół handlowo-rozrywkowy, a może nawet na świecie. Po parterze i piętze chodziłem przez 5 godzin. Oprócz „normalnych” sklepików, sklepów i połączonych wielkich magazynów, które gdzie indziej same są wielkimi domami handlowymi, tutaj można skorzystać z atrakcji wesołego miasteczka, przejechać się łodzią podwodną, skorzystać z siłowni, obejrzeć akrobacje delfinów, pojeździć na łyżwach na lodowisku przystosowanym nawet do rozgrywania meczów hokeja, popatrzeć na żywe ptaki i wiele innych atrakcji. Do oglądania i uczestniczenia tylko raz w każdej wystarczyłoby na niejeden dzień.

Trzeciego dnia padał deszcz, niezbyt duży, ale wystarczający, aby zniechęcić do spaceru. Nie przeszkodził mi jednak usiąść w samochodzie obok współbrata i udać się do niewielkiego teraz miasteczka ST Albert. Tam był zbudowany pierwszy kościół, który nazywany jest pierwszą i najstarszą katedrą w dalekiej Kanadzie. Z zewnątrz wygląda, jak prosty dom z drzewa. Przyzwyczajiliśmy się do wielkich budowli sakralnych, ale w początkach ewangelizacji dalekiej Kanady był wystarczający. Obok stoją pojazdy konne używane przez misjonarzy. Takie same można obejrzeć na filmach kowbojskich. Obecnie ludzie modlą się w dużym kościele murowanym, niestety, zamkniętym poza czasem odprawianych nabożeństw. Za kościołem jest krypta, w której są pochowani Oblaci, kandydaci na ołtarze. Relikwie Sługi Bożego Brata Antoniego Kowalczyka, omi, też tu zostaną przeniesione. Na razie jest pochowany na cmentarzu oblackim, a jego ustrojony grób rzuca się od razu w oczy. W krypcie znajduje się już gabłota. Można zobaczyć narzędzia przez niego używane. Już 30 lat temu mógłby zostać ogłoszony błogosławionym, jednak do tej pory nie stwierdzono cudu za jego wstawiennictwem. I to jest ten, który za swego życia dokonał niejednej rzeczy bardzo dziwnej dzięki swojej pokorze i zaufaniu do Pana Boga. Na tym cmentarzu jest także grób zmarłego przed trzema laty ojca Leona Mokwy, przez 60 lat misjonarza wśród Indian i Eskimosów. Możecie o nim przeczytać w książce Arkadiego Fiedlera pt. „Kanada pachnąca żywicą”.

Następny dzień – piątek – przeznaczyłem na obejrzenie muzeum zwanego „królewskim”. W dużym budynku można obejrzeć wypchane zwierzęta żyjące tutaj i na północy Kanady, życie Indian i Eskimosów. Bardzo rzadko spotyka się podobny zakaz, jaki spotkałem tutaj. Nie można fotografować. Kilkanaście zdjęć w moim komputerze z tego muzeum zostało wykonane przez kogoś innego. Ja byłem posłuszny pisanemu prawu. Dzień był pochmurny, zimny, deszczowy, więc oglądałem miasto tylko z okien autobusów, wykupiwszy bilet całodobowy.

W centrum informacji bezpłatnie otrzymałem też przewodnik po Albercie w języku francuskim. Najpiękniejsze widoki są do oglądania przez użytkowników samochodu. Potrzeba byłoby przynajmniej dwóch dni, aby zobaczyć piękno tutejszej przyrody. Jednak w tym przewodniku nie było żadnej wzmianki o muzeum, ponieważ ono nie zostało założone przez ludzi pochodzenia francuskiego. Godne było zauważenia właśnie to, czego brakowało.

Sobota była dniem, w którym zamierzałem odwiedzić duszpasterza drugiej polskiej parafii w Edmtonie i zostałem tam dowieziony przez duszpasterza, Zaraz po obiedzie zapadła decyzja, że na niedzielę zamieszkać w tej parafii, aby powiedzieć coś o misji na Madagaskarze. Miałem więc trzy kazania i kilka dłuższych rozmów po Mszy Świętej. Zainteresowanie misją okazało się duże. Rozmawiałem też z młodzieżą. W obu parafiach zauważyłem dużą życzliwość i dobrego ducha. Wiele osób z radością usłużyło w parafii.

Po niedzielnym obiedzie u Sióstr zatrzymaliśmy się w drodze do domu przy szkole, która jeszcze 60 lat temu była własnością Misjonarzy Oblatów i mieścił się Juniorat, czyli gimnazjum dla młodzieńców pragnących być Oblatami. Tu pracował polski misjonarz, leworęki, brat Antoni Kowalczyk. Tutaj znajduje się grota Matki Bożej z Lourdes przez niego zbudowana, o czym zostałem poinformowany przez ojca proboszcza, a na tablicy na grocie było napisane to samo. Jednak odniosłem przykre wrażenie patrząc na kratę otaczającą dzieło brata Antoniego. Czyżby i tu nie potrafiiono uszanować miejsca modlitwy? Czy jest niebezpieczeństwo zniszczenia tej pamiątki przez bezmyślnych uczniów katolickiej szkoły? Szkoda!

Zaraz po obiedzie pojechaliśmy na cmentarz, aby pomodlić się za zmarłych. Odmówiliśmy częstą Różańca. Takie modlitwy w Polsce są odprawiane w dniu 1. listopada, w Kanadzie zaś w jedną z niedziel poprzedzających uroczystość Wszystkich Świętych. Tam, gdzie jest więcej cmentarzy z grobami Polaków, a mało polskich księży, każdej niedzieli października krewni zmarłych Polaków modlą się na innym cmentarzu.

W poniedziałek jeszcze raz zakupiłem kawę ze smacznym ciastkiem w kawiarence „Polka”. Przy bufecie rozmawiałem po polsku, ale nie zostałem rozpoznany, choć obsługująca rozmówczyni słuchała mego kazania i nawet wiedziała, o czym mówiłem: oczywiście, o misjach na Madagaskarze. Tego dnia zwiedziłem jeszcze katedrę, w której zainteresował mnie witraż przedstawiający pierwszego biskupa, oblata. W południe odprawiłem Mszę Świętą w kaplicy sióstr prowadzących przedszkole, zjadłem obiad i zostałem odwieziony na lotnisko. Samolot rozpoczął kołowanie o godzinie 4-ej po południu i po czterech godzinach i trzydziestu minutach, czyli o pół do jedenastej ujrzałem w Toronto współbrata, który pomimo nocnej pory na lotnisko wyjechał po mnie samochodem. Nie muszę zdradzać rozwiązania zagadki, dlaczego w tym wypadku 10,5 minus 4 równa się 4 godziny trzydzieści minut.

Dzień Wszystkich Świętych w Kanadzie jest dniem pracy, nawet w kościele we Mszach Świętych nie uczestniczy wiele osób, ale też nie ma obowiązku uczestniczenia we Mszy Świętej. Po prostu Kanada jest krajem protestanckim, a od czasów Marcina Lutera ci ludzie uważają, że człowiek nie może stać się świętym. Nawet w Polsce w tych dzielnicach, gdzie protestanci są liczniejsi, obchodzi się urodziny, a nie imieniny.

Jeszcze w październiku przygotowano także ucztę urodzinową na moją cześć. Miałem więc okazję upublicznić moje sądy o prezentach. Dzielę je na dwa rodzaje. Przy otrzymaniu prezentu z pierwszej kategorii modlę się ewangelicznie: „Boże, oświeć ich, bo nie wiedzą, co czynią”. W dobrej wierze ofiarodawcy chcą obdarzyć przyjmującego czymś bardzo dobrym i cennym czyli drogim i pożytecznym, ale w swoim mniemaniu. I mają zasługę u Pana Boga, a jubilat czy solenizant wylewnie dziękuje, bo tak trzeba. Natomiast sama rzecz może być nieprzydatna lub nie w moim guście, więc albo leży na jakiejś półce, albo zostaje przekazana dalej przy okazji lub też bez okazji. Do drugiej kategorii zaliczam prezenty, które są niespodziankami. Już nieraz otrzymałem w prezencie rzecz, którą krótko przedtem oglądałem albo po prostu myślałem o poszukaniu sklepu z takimi rzeczami przeze mnie upragnionymi. Bo ja, zanim kupię, najczęściej długo się zastanawiam i wiele razy oglądam, zwłaszcza rzeczy droższe. Jedynie potrzebne mi do wykonywanej pracy kupuję bez zastanowienia. I tak stało się tym razem. Ostatnio nie korzystam z zaproszeń i nie uczestniczę w spotkaniach z okazji urodzin współbraci, ale obiad z okazji moich urodzin zgromadził ponad 20 osób. Nie pamiętam, aby kiedykolwiek tyle osób przybyło w dniu mego święta. Prawie wszystkie prezenty, a było ich pięć, należały do drugiej kategorii. Wartości smakowych dwóch prezentów nie potrafiłem docenić i nawet nie wiedziałem, gdzie postawić otrzymane szkło. Okazałem się ignorantem, co uważam za zaszczyt nie znać się na takich smakołykach. Nie wiem, skąd ofiarodawcy wiedzieli, że od kilku miesięcy myślałem o ładnej ikonie, gdyż ściany mego pokoju są czyste, bez jednego gwoźdźca. Ikonę z certyfikatem „ręcznie malowane” otrzymałem. Drugim prezentem jest stylizowany krzyż z miejscem na bezdymnie długopalącą się świeczkę produkującą aromat wiśni czy czereśni. Ten krzyż znajduje się w salce katechetycznej, w której gromadzą się grupy młodzieży i starszych, pragnących pogłębić swoje życie wewnętrzne. Ja w pokoju mam krzyż obłacki, który noszę w niedzielę, kiedy zakładam sutannę. Na cały tydzień zawieszam go na haku umocowanym w suficie nad komputerem, a sznur niemal dotyka monitora. Ten hak służył moim poprzednikom do zawieszania doniczek z kwiatami. Ja od lat ponad 40 kwiatów do swego pokoju nie przynoszę. Szkoda mi ich. Nie przyzwyczaiłem się do okazywania im troskliwości, więc szybko by zmarniały. Poza tym nie mam miejsca. Biurko wciąż zapełnione. Parafianie już wiedzą o tym i zaraz mi zabierają, aby postawić gdzieś w kościele lub na stole w naszej jadalni. Wiedzą dobrze, jakie kwiaty w jakim miejscu pasują, ja na tym znać się nie muszę. Osobom sprzedającym kwiaty i osobom ofiarującym kwiaty radzę opuścić czytanie tego fragmentu listu, jeśli nie chcą mnie zniechęcić. Moja opinia o ofiarowanych kwiatkach jest następująca. Są piękne, to uznaję i dziękuję Panu Bogu za to, że takie wyrosły. Są symbolem życzliwości ofiarodawcy do obdarowanego. To prawda. Wyrażają żywe uczucia (uznania, wdzięczności itp itd...) Nie przeczę. A kwiaty po trzech dniach więdną, nieprawdaż? I jaki z tego wniosek? A poza tym uważam, że składanie mi życzeń w dniu imienin lub urodzin jest zbędne. Przecież życzenia składają ci, którzy są mi życzliwi przez cały rok i nie mają potrzeby tego potwierdzać słowem ani chwalić się wobec innych. Cieszy mnie, że jest dużo ludzi

mi życzliwych przez przynajmniej 365 dni w roku, którzy o moich urodzinach dowiedzieli się dopiero z biuletynu parafialnego.

W miesiącu października raz w tygodniu, w środy, dzieci prowadziły Różaniec. Siostra Anna, od trzech miesięcy pracująca w parafii jako katecheta i zakrystianka, zapowiedziała konkurs na najpiękniejszy różaniec zrobiony przez dzieci własnoręcznie. Były zapowiedziane nagrody za pięć najpiękniejszych. W dniu 31 października wisiało na tablicy około 60 różańców. I tutaj zaczął się kłopot. Wiele osób patrzyło na te dzieła sztuki pomagające rozmyślaniu tajemnic różańcowych, ale nikt nie zdobył się na wskazanie najładniejszego. Postanowiono ogłosić pięć pierwszych miejsc w konkursie. Nic z tego pomysłu nie wyszło. A więc postanowiono, że każdy wykonawca różańca otrzyma pierwszą nagrodę. Było tych pierwszych nagród sześćdziesiąt. Na szczęście pobożnych artystów, ja do ekipy sędziowskiej nie należałem, bo byłbym zdyskwalifikował przynajmniej dwa różańce. Były wykonane z cukierków, gumy do żucia i makaronu. A ja mam wyczulony szacunek do jedzenia.

Na Madagaskarze widziałem ludzi głodujących i umierających z głodu. Z tego też powodu nie przyjmuję zaproszenia na świąteczny obiad jednej z dwóch grup seniorów przy naszej parafii. Skorzystałem z takiego zaproszenia dwukrotnie i dwukrotnie przyniesiono mi czubaty talerz, jedzenia starczyłoby przynajmniej na dwa dni na wszystkie posiłki. Kiedy poprosiłem, aby mi przygotowano mniejszą, normalną porcję, usłyszałem, że wyrzucą to, co ja zjeść nie zdołam. Na to się nie zgodziłem i – ostatecznie z wyrazem grymasu na twarzy – przyniesiono mi drugi talerz, pusty, na który włożyłem tyle jedzenia, ile chciałem. Z tego powodu w dniu obiadu przed Bożym Narodzeniem lub Wielkanocą i innymi wydarzeniami godnymi zaproszeń duszpasterzy chodzę na obiad do baru (bezalkoholowego) i zamawiam zupę meksykańską. Smaczna. Z drugą grupą seniorów obiad jadam, ale w tej grupie po modlitwie każdy z nas dochodzi do jadła i sam sobie nakłada lub podstawią talerz nakładającym. Mogę więc wybierać jedzenie co do rodzaju i ilości. Mam zasadę, że co zostaje włożone na talerz, jest zjadane.

Zapewne każdemu księdzu lub szafarzowi udzielającemu Komunii Świętej zdarza się, na szczęście, bardzo rzadko, że Komunikant upadnie na posadzkę kościoła albo na patenę trzymaną przez ministranta. Kiedyś, na Madagaskarze, byłem pytany o problem grzechu znieważenia Najświętszego Sakramentu, jeśli komunikant upadnie. Uczniowie tej katolickiej szkoły byli więc bardzo wrażliwi na okazywanie szacunku do Eucharystii. Wyjaśniłem. Grzechem byłoby świadome rzucenie Hostii albo niedbałość i nieuwaga rozdającego Komunię Świętą. To zawsze należy wykluczyć. Pytanie młodzieży było skierowane do mnie po Mszy Świętej, podczas której ja rozdawałem Komunię Świętą i komunikant spadł na podłogę. W takim wypadku od lat ja podnoszę i spożywam sam. Chciałem udzielić Komunii Świętej uczennicy, przed którą komunikant upadł, ale ona powiedziała mi, że Komunię Świętą już przyjęła. Wtedy zrozumiałem, że z puski wyjąłem dwa komunikanty ściśle przylegające do siebie. Wypiekane na Madagaskarze komunikanty były bardzo cienkie. W chwili podawania góry komunikant zsunął się. Wspominam dziś po 18 latach o tym, gdyż w naszym kościele też upadł Najświętszy Sakrament na posadzkę. W parafii jest prawie setka ministrantów i ministrantek chętnie służących do Mszy Świętej. To radosna wieść. Cieszy mnie, że nawet najmłodszy chcą służyć. Ale siedmiolatek trzymający patenę wchodził mi pod łokieć i już przyzwyczaiłem się do tego. Nie pomagały moje prośby, aby patenę brali starsi ministranci. Na łokieć uważałem. Nie przewidziałem jednak, że taki ministrant patrząc w sufit albo witraż może uderzyć pateną w przegub mojej ręki i zrobić to, gdy miałem podawać. Komunikant pofrunął w powietrze, spadając metr obok stojących w kolejce. Zszedłem ze stopnia, chciałem podnieść, co dla mnie nie byłoby rzeczą łatwą. Uprzedził mnie stojący jako drugi w szeregu przyjmujących, szybko nachylił się, podniósł, spożył i odszedł. Nie zauważyłem nawet, kto to był, zresztą musiałem uważać, jak zawsze, na Komunikanty w puszcze i wrócić na stopień, aby dalej udzielać Komunii Świętej. Piszę to, ponieważ w tym wypadku ten człowiek postąpił najlepiej, jak zrobić było można. Nie był zaskoczony, inni w takim wypadku „tracą głowę”. Po prostu wyznał swoją wiarę w obecność Jezusa pod postacią chleba. Dlatego ten fakt nie może być pominięty i w moim liście. A ja od tej pory nie pozwalam, aby zbyt mali ministranci służyli z pateną stojąc przy mnie. Nawet jeśli narzekają lub płaczą.

Rekolekcje adwentowe w naszej parafii już się odbyły. W tym roku Adwent jest krótki, więc w polskich parafiach prowadzonych przez Oblata Maryi Niepokalanej z Poznania te ćwiczenia duchowe rozpocząć się musiały w niedzielę Chrystusa Króla i Rekolekcjonista prowadził je w dwóch parafiach jednego tygodnia. Do naszej parafii przybył w niedzielę rano, a że w sobotę wieczorem zakończył pracę w Ottawie, przyleciał samolotem tuż przed pierwszą Mszą Świętą, w Toronto wylądował o godzinie 7,10 i 35 minut później wszedł do zakrystii. Okazał się roztroptym zabierając do samolotu tylko bagaż podręczny. Tu też jest problem. Do pełnego stroju zakonnego w naszym Zgromadzeniu należy sutanna, czarny pas i duży krzyż otrzymywany w dniu składania ślubów wieczystych. Od kiedy zwiększono kontrole antyterrorystyczne, duży krzyż może stanowić problem. Misjonarze nieraz musieli wyjmować krzyże i wkładać do walizki przewożonej nie w kabinie. Ale w takim wypadku po przylocie muszą czekać na bagaż, co zajmuje trochę czasu, nieraz pół godziny i dłużej. W Mediolanie kapelan lotniska uzyskał pozwolenie na przygotowywanie dziesięciokilogramowych paczek dla misjonarzy lecących do Afryki, w których były przedmioty niedozwolone w kabinie samolotu, jak obcinacze do paznokci, otwieracze butelek, małe nożyczki itp. Te przedmioty były zabierane pasażerom i przeznaczone do wyrzucenia, zaś w Afryce na misjach są bardzo cenne. Można więc dojść do porozumienia przy dobrej woli nawet w sprawach trudnych.

Jeszcze jedna wiadomość z Madagaskaru dotarła do mnie, niestety, smutna. Ojciec Michel, czyli Michał, otrzymał Świecenia Kapłańskie przed 9 laty. Studia w Seminarium rozpoczął w czasie, kiedy i ja mieszkałem w Seminarium, a potem należał do dziewiątki oblatów, którzy mieszkali w nowootwartym w 1992 roku Scholastykacie, czyli Seminarium naszego Zgromadzenia, w stolicy Madagaskaru, Tananarywie. Zawsze uczynny, radosny, dobry organizator. Myślałem, że w przyszłości mógłby być dobrym ekonomem. W dniu 10 grudnia dotarła wiadomość, że zmarł po silnym ataku astmy w Tamatawie, naszym domu wychowawczym. Miał lat 36. Jest on pierwszym zmarłym oblatem – malgaszem i trzecim z oblatów pracujących na Madagaskarze. Dwaj pierwsi zmarli, to oblaci polscy.

Z Madagaskaru mam jeszcze mały i bardzo lekki elektroniczny zegarek na rękę, kupiony w Paryżu w 1992 roku, prawdziwy „kombajn”, z sześcioma budzikami, trzydziestoma miejscami do wpisania numeru telefonu, możliwością ustawienia czasu aktualnego w dowolnym państwie i strefie czasowej, a także ze stoperem dokładnym do jednej setnej sekundy. I tu wymyśliłem zabawę. Przyciskając mały klawisz zatrzymuje się czas, ale stoper nie zatrzymuje się i po chwili ten sam klawisz można przycisnąć ponownie, aby znów próbować zatrzymać dokładnie, co do jednej setnej sekundy, po pięciu sekundach. To nie jest łatwe, ale możliwe. Czasami się udaje. Można też zapisywać, ile setnych sekundy brakuje albo już przeszło po zatrzymaniu, potem zsumować i przekazać współzawodnikowi na następną minutę, zatrzymując 12 razy, co 5 sekund. Kto ma taki stoper, niech spróbuje.

Niektóre marzenia realizują się po latach. Przez 30 lat marzył o żyrandolu w kościele nasz parafianin i żyrandol zaświecił. W pewnym sklepie wisiał półtorametrowy, błyszczący jakby ze złota, pajak o 24 żarówkach. Nie było chętnych na nabycie takiego artykułu i właściciel obniżył cenę z ośmiu tysięcy dolarów do trzech i pół tysiąca. Marzący parafianin to zauważył. A że właśnie spieniężył dom, więc postanowił dać taki prezent dla parafii, oczywiście, za zgodą ojca proboszcza, który pojechał do sklepu, sfotografował żyrandol i zasięgał rady także co do miejsca zawieszenia. Przewiezienie ze sklepu do kościoła wypadło w dniu, w którym były trudności z pobraniem pieniędzy z banku, więc poprosił jedną z organizacji parafialnych o pożyczkę na bardzo krótki czas. Pieniądze otrzymał. Już za swoje pieniądze dokupił łańcuch. Kiedy doszło do spłacenia długu, stwierdził, że skoro mają tyle pieniędzy, to żyrandol niech będzie prezentem dla parafii od tej organizacji, a on kupi coś innego. To się nazywa inteligencja. Trzeba było jeszcze pomocy elektryków, którzy za pracę nie wzięli wynagrodzenia, a przy okazji założyli lampy nad chórem. Pracujących bez zapłaty jest wiele osób i dlatego można było pokusić się o zmianę mebli w zakrystii, dzięki czemu zakrystia stała się większą, szafy są już bez próchna, nowa posadzka też przyjemna dla wzroku. Teraz niektórzy już myślą o wymianie wykładziny przy ołtarzu. 15 lat temu była cała i miała żywy kolor. Jak ktoś zapłaci za materiał, prezbiterium będzie miało granit. W Kanadzie minął już czas, w którym szczytem elegancji była wykładzina. Nawet w mieszkaniach wykładziny znikają, podłoga z drzewa jest łatwiejsza do czyszczenia i zdrowsza.

Nie myślcie tylko, że w Kanadzie wszyscy są bogaci. Są rodziny, którym odłączono prąd z powodu niepłacenia rachunków. Po prostu brakło im pieniędzy. Są ludzie, którzy mając 1 milion dolarów na koncie nie należą do bogatych, są tacy, którzy na cele dobroczynne dają kilka milionów dolarów i wtedy płacą mniej podatku. Takim dobroczynność się opłaca. Ale są i tacy, których nie stać nawet na zapłacenie wynajmu mieszkania czy – ostatnio – właśnie za energię.

W ostatnim tygodniu przed Bożym Narodzeniem mamy mniej zajęć we własnym kościele, a za to więcej czasu spędzamy w parafiach sąsiednich. Jest taki zwyczaj, że dwudziestka księży każdego dnia przybywa wieczorem do jednej z sześciu polskich parafii w Toronto i przez 2-4 godziny spowiada. Są ludzie, którzy lubią czekać na swoją kolejkę do Spowiedzi Świętej. W okresie wielkanocnym w parafii Świętego Maksymiliana (największa polonijna parafia w świecie, 10 tysięcy rodzin) jeszcze o 11-ej w nocy widziałem dzieci. Tego wieczoru nikt nie krzychał na nie, aby „szły spać”. W kościele byli z rodzicami, Ciekawe, że nikt nie narzekał, a niektórzy czekali 2-3 godziny. W naszej parafii księża siedzą półtorej godziny, potem rozmawiają przy kolacji trwającej nie krócej.

W Kanadzie Adwent w pełni. We wszystkich instytucjach, biurach, sklepach, a także parafiach i innych stowarzyszeniach odbywają się spotkania opłatkowe. Nie pomyliłem się. Opłatek w dniu 7 stycznia 2007 roku w naszej parafii jest czymś wyjątkowym, w dodatku trzeba płacić za bilet wstępu, ale za to podadzą obiad, przywieziony z restauracji. W sklepach dekoracje bożonarodzeniowe są od miesiąca i dłużej. Po prostu są handlowy. Nie wiem, jak dużo ludzi tu wie tak naprawdę, co to jest za święto Bożego Narodzenia, ale choinki już są i będą rozebrane w drugi dzień Świąt. Niektórzy emeryci wyjadą na Florydę, aby w ciepłe doczekać wiosny.

Kończąc informacją, że po czterech miesiącach po przeprowadzce postanowiłem poszukać sklepu z regałami. Zamówione u parafianina stolarza przed 15 miesiącami jeszcze nie zostały zrobione, a że odejchał nasz współbrat, który złożył zamówienie, my teraz nawet nie wiemy, kto to miał nam ofiarować. Książki leżą w komórce albo na podłodze. Niestety, w sklepie IKEA odpowiedniego mebla nie znalazłem. Spróbuję odwiedzić inne magazyny. Problem polega na tym, że mieszkając „pod dachem” mebel przy ścianie nie może być wyższy, niż 170 cm, a szerszy, niż 110 cm zastawi kontakt i nie będę mógł gasić światła.

*Z serdecznym pozdrowieniem
W Chrystusie i Maryi Niepokalanej
O. Jan Sadowski, OMI*